

DEAN  
KOONTZ



MIASTO

# Preludium

Malcolm podaje mi magnetofon.

- Musisz opowiedzieć o swoim życiu – mówi.
- Wolałbym żyć teraźniejszością niż mówić o przeszłości.
- Nie o całym – odpowiada Malcolm. – Tylko o... no

wiesz.

- Mam mówić o „no wiesz”?
- Ludzie powinni to usłyszeć – tłumaczy Malcolm.
- Jacy ludzie?
- Wszyscy. To smutne czasy.
- Nie mogę zmienić czasów.
- To smutny świat – kontynuuje Malcolm. – Rozwesel

go trochę.

- Chcesz, żebym opuścił wszystkie mroczne fragmenty?
- Nie, stary. Te mroczne części są potrzebne – mówi

Malcolm.

- Ja ich nie potrzebuję. Ani trochę.
- Przy mrocznych kawałkach te jasne wydają się jeszcze

jaśniejsze.

- A kiedy już skończę opowiadać o „no wiesz”... co wtedy?

- Wtedy napiszesz książkę – wyjaśnia Malcolm.
- Przeczytasz tę książkę?
- Większość – potwierdza. – Niektórych części nie widziałbym dość wyraźnie, żeby je przeczytać.
- A jeśli ja przeczytam ci te części?
- Jeśli będziesz widział wszystkie słowa, wysłucham cię.
- Wtedy będę już widział. Wcześniej i tak wykończy mnie opowiadanie o tym wszystkim.

# 1

Nazywam się Jonasz Ellington Basie Hines Eldridge Wilson Hampton Armstrong Kirk. Odkąd pamiętam, kochałem to miasto. Ta historia to opowieść o miłości odwzajemnionej. Opowieść o stracie i nadziei, o cudach, które kryją się tuż pod napięciem powierzchniowym codziennego życia i których nie potrafimy objąć rozumem.

Ulice miasta nie były wybrukowane złotem, jak mówiono niektórym imigrantom, nim przybyli tu z drugiego krańca świata. Nie wszyscy młodzi piosenkarze, aktorzy czy pisarze zostali gwiazdami wkrótce po opuszczeniu swych rodzinnych miasteczek, choć zapewne wielu z nich, skuszonych światłami wielkiej metropolii, właśnie na to liczyło. W mieście, jak wszędzie, mieszkła śmierć, popełniano tu więcej morderstw niż w miasteczkach, dochodziło do wielkich tragedii, nie brakowało chwil grozy. Ale miasto było także miejscem cudów, magii światła i ciemności – magii, której wielokrotnie doświadczałem w swoim burzliwym życiu, jak choćby tej nocy, kiedy umarłem, a potem się ocknąłem i wróciłem do życia.

## 2

Kiedy miałem osiem lat, poznałem kobietę, która twierdziła, że to ona jest miastem, choć wspomniała o tym dopiero po dwóch latach naszej znajomości. Mówiła, że miasta to przede wszystkim ludzie. Jasne, potrzebne są biurowce, parki, kluby nocne, muzea i cała reszta, ale ostatecznie to ludzie – i ich charakter – decydują o wyjątkowości miasta. Jeśli miasto jest wyjątkowe i wspaniałe, ma własną duszę, utkaną z nici milionów dusz, które mieszkały w nim dawniej i mieszkają teraz.

Kobieta mówiła, że to miasto ma szczególnie wrażliwą duszę i że przez długi czas zastanawiało się, jak wygląda życie mieszkających w nim ludzi. Miasto martwiło się też, że pomimo wszystkiego, co miało do zaoferowania swoim obywatelom, być może zawodzi niektórych z nich. Znało siebie lepiej, niż może siebie znać jakikolwiek człowiek, znało wszystkie swoje widoki, wszystkie zapachy, dźwięki, struktury i tajemnice, ale nie wiedziało, co czuje człowiek żyjący pośród tysięcy kilometrów tych ulic. Dusza miasta przyjęła więc ludzką postać, by zamieszkać wśród innych ludzi, a przyjęła właśnie postać tej kobiety.

To ona była miastem; odmieniła moje życie i pokazała mi, że świat jest miejscem znacznie bardziej tajemniczym, niż przypuszczamy, jeśli nasze pojmowanie rzeczywistości opiera się choćby tylko po części na tym, co pokazuje prasa, telewizja czy internet. Muszę opowiedzieć o tej kobiecie i pewnych straszliwych, a także cudownych i zdumiewających wydarzeniach, które się z nią wiązały, oraz o tym, jak te wydarzenia nadal mnie prześladują.

Ale chyba zanadto się spieszę. Mam do tego skłonność.

Żadne życie nie składa się tylko z jednej opowieści – zawsze są ich tysiące. Kiedy więc próbuję przedstawić swoją historię, czasami skręcam w boczne alejki, choć powinienem trzymać się głównej ulicy, albo gdy owa historia ma czternaście przecznic, ja zaczynam czasami od czwartej, a potem muszę wracać, żeby całość miała sens.

Poza tym nie piszę tej opowieści na klawiaturze, a kiedy mówię, jak teraz, nagrywając te słowa na magnetofon, zdarza mi się głądzić o nieistotnych szczegółach. Mój przyjaciel Malcolm mówi, żebym nie nazywał tego głądzeniem, lecz ustnym przekazywaniem historii. Brzmi to dość pretensjonalnie, jakbym był pewien, że osiągnąłem rzeczy, które przejdą do historii. Być może jednak takie właśnie określenie jest najtrafniejsze. Przekaz ustny. Co oznacza, że siedzę tu i gadam do magnetofonu. Kiedy ktoś to potem przepisze, będę musiał zrobić redakcję, żeby oszczędzić czytelnikowi wszystkich postękiwań, powtórzeń i niedokończonych zdań i żebym wyszedł na inteligentniejszego, niż jestem w rzeczywistości. Tak czy inaczej, nie mogę teraz pisać tego sam, bo zaczyna mi dokuczać artretyzm w palcach u rąk, na razie to nic poważnego, ale jestem pianistą i muszę oszczędzać dłonie dla muzyki.

Malcolm mówi, że w głębi duszy jestem pesymistą, bo ciągle używam tego określenia: „Na razie nic poważnego”. Jeśli czuję w nodze jakiś nieokreślony ból, a Malcolm pyta, dlaczego masuję łydkę, odpowiadam: „Coś mi dokucza. Na razie nic poważnego”. Jego zdaniem w rzeczywistości myślę wtedy, że to zakrzep żylny, który lada moment się oderwie i rozwali mi płuca albo mózg, choć nic podobnego nie przyszło mi nawet do głowy. Wypowiadam te cztery

słowa, by uspokoić moich przyjaciół, o których naprawdę się martwię, gdy mają grypę, zawroty głowy czy jakieś uporczywe bóle, bo sam czułbym ulgę, gdyby dodawali mi otuchy, mówiąc: „Na razie nic poważnego”.

Ostatnia rzecz, o jaką można by mnie posądzić, to pesymizm. Jestem optymistą i zawsze nim byłem. Życie nie dawało mi żadnych powodów, bym oczekiwał najgorszego. Odkąd kocham to miasto, a kocham je od zawsze, jestem optymistą.

Byłem optymistą już wtedy, gdy wydarzyło się to wszystko, o czym zamierzam wam opowiedzieć. Choć od czasu do czasu będę sięgał głębiej w przeszłość, by nakreślić tło wydarzeń, ta historia zaczyna się w 1967 roku, gdy miałem dziesięć lat, a kobieta powiedziała mi, że jest miastem. W czerwcu tego właśnie roku przeprowadziłem się z mamą do domu dziadka. Moja mama miała na imię Sylvia i była piosenkarką. Dziadek nazywał się Teddy Bledsoe, nigdy nie mówiono do niego Ted, a z rzadka tylko Theodore. Dziadek Teddy był pianistą, moim wzorem.

To był dobry dom, z czterema pokojami na dole i czterema na górze, jedną łazienką z wanną i jedną z prysznicem. Fortepian stał w dużym frontowym pokoju, dziadek grał na nim codziennie, choć przez cztery dni w tygodniu występował wieczorami w hotelu, a przez trzy przygrywał popołudniami w domu towarowym, w najekskluzywniejszym dziale, gdzie jedna suknia mogła kosztować tyle, ile zarabiał w ciągu całego miesiąca, a futro przewyższało wartość nowego chevrolata. Mówił, że granie zawsze sprawiało mu przyjemność, ale kiedy grał w domu, robił to tylko dla przyjemności.

– Jeśli chcesz zatrzymać w sobie muzykę, Jonaszu, musisz codziennie trochę grać wyłącznie dla przyjemności. Inaczej przestanie ci to sprawiać radość, a jeśli zatracisz tę radość, twoja gra nie będzie się podobać tym, którzy się na tym znają, ani tobie samemu.

Za domem znajdowało się wybetonowane patio graniczące z małym podwórkiem, z przodu zaś weranda z widokiem na jeszcze mniejsze podwórko, gdzie rósł ogromny klon, który jesienią robił się czerwony jak ogień. Liście opadające z jego gałęzi wyglądały niczym olbrzymie rozżarzone węgle ułożone na trawie. Pewnie można to było uznać za typową dzielnicę niższej klasy średniej, choć wtedy nigdy nie myślałem w tych kategoriach i nadal staram się tak nie myśleć. Dziadek Teddy nie cierpiał szufladkowania, etykietowania, dzielenia ludzi słowami, a ja też tego nie lubię.

W 1967 roku świat się zmieniał, choć oczywiście zmienia się zawsze. Niegdyś tę dzielnicę zamieszkiwali głównie żydzi, potem ich miejsce zajęli polscy katolicy. Państwo Steinowie, którzy wyprowadzili się z tego domu, lecz nadal byli jego właścicielami, wynajęli go moim dziadkom w 1963 roku, gdy miałem sześć lat, i sprzedali im go dwa lata później. Dziadkowie byli pierwszymi czarnoskórymi, którzy zamieszkali w tej okolicy. Dziadek mówił, że początkowo mieli trochę kłopotów, ale nigdy nie było aż tak źle, by chcieli się wyprowadzić.

Uważał, że udało im się przetrwać ten najgorszy okres dzięki trzem rzeczom. Po pierwsze trzymali się na uboczu i nie spotykali się z nikim bez wyraźnego zaproszenia. Po drugie dziadek grał za darmo na pianinie podczas różnych uroczystości w sali parafialnej przy kościele Świętego



Stanisława, do którego chodziło wielu mieszkańców naszej dzielnicy. Po trzecie moja babcia, Anita, pracowała jako sekretarka wielbnego McCarthy'ego.

Dziadek był skromnym człowiekiem, ale ja nie zamierzam przemilczać jego zalet. Babcia i on mogli się czuć bezpieczni w swojej dzielnicy także dlatego, że oboje mieli w sobie autentyczną szlachetność. Babcia była wysoka, dziadek jeszcze wyższy, nosili się z cichą dumą. Lubiłem na nich patrzeć, jak poruszali się z wrodzonym wdziękiem, gdy dziadek podawał babci płaszcz i otwierał przed nią drzwi, a ona zawsze mu dziękowała. Dobrze się też ubierali. Nawet w domu dziadek nosił spodnie od garnituru, białą koszulę i szelki, a kiedy grał na fortepianie lub siadał do obiadu, zakładał krawat. Zawsze byli dla mnie mili, serdeczni i kochający, zdawałem sobie jednak sprawę, że mieszkając w ich domu, przebywam w towarzystwie wielkich indywidualności.

W kwietniu 1967 roku moja babcia zmarła w pracy na udar mózgu. Miała zaledwie pięćdziesiąt dwa lata. Była tak energiczna, tak pełna życia, że nigdy nie przyszło mi do głowy, by mogła umrzeć. Przypuszczam, że nikt sobie tego nie wyobrażał. Kiedy odeszła tak nagle, wszyscy jej bliżsi i dalsi znajomi byli nie tylko zrozpaczeni, ale i zszokowani. Ta tragedia nappełniła ich niewytłumaczalnym lękiem, jakby słońce wstało na zachodzie i zaszło na wschodzie, zwiastując nadejście apokalipsy. Unikali tego tematu, niejako w przekonaniu, że świat przetrwa tylko wtedy, gdy wszyscy pominą milczeniem tę rewolucyjną zmianę.

W tym czasie mieszkalem z mamą w centrum miasta, w mieszkaniu na trzecim piętrze kamienicy bez windy.

Okna salonu wychodziły na ulicę, a za oknami kuchni i mojej małej sypialni widać było jedynie okopconą ścianę sąsiedniego budynku. Trzy wieczory w tygodniu mama śpiewała w klubie bluesowym, a przez pięć dni pracowała w barze na terenie supermarketu Woolworth's, czekając na jakiś wielki życiowy przełom. Miałem wtedy prawie dziesięć lat i wiedziałem już co nieco o życiu, muszę jednak przyznać, że przez jakiś czas byłem przekonany, że będzie równie zadowolona bez względu na to, w którym kierunku potoczy się jej kariera – czy zacznie śpiewać w większych i lepszych salach, czy też zostanie kelnerką w jakiejś ekskluzywnej restauracji.

Zamieszkaliśmy u dziadka przed pogrzebem i zostaliśmy u niego kilka dni potem, by nie był sam. Do tej pory nigdy nie widziałem, by płakał. Przez tydzień nie chodził do pracy i większość czasu spędzał w swojej sypialni. Czasami jednak siadywał przy oknie na końcu korytarza na piętrze i patrzył na ulicę albo siedział nieruchomo na fotelu w salonie, obok stolika, na którym leżała nieprzeczytana gazeta.

Kiedy próbowałem go zaczepiać, brał mnie na kolana i mówił:

– Pomilczmy teraz trochę, Jonaszu. Będziemy jeszcze mieli dość czasu, żeby o wszystkim porozmawiać.

Jak na swój wiek miałem drobną i chudą posturę, dziadek zaś był potężnym mężczyzną, ale czułem się wtedy otoczony wielką delikatnością. To milczenie różniło się od innych chwil ciszy, zdawało się głębokie, słodkie i spokojne, mimo że smutne. Kilka razy, opierając głowę na jego szerokiej piersi i wsłuchując się w bicie jego serca, zasnąłem na chwilę, choć nie byłem już małym dzieckiem, któremu

należy się codzienna drzemka.

Plakał w tym tygodniu tylko wtedy, gdy grał na fortepianie. Nie wydawał przy tym żadnym dźwięków – był chyba zbyt dumny, by szlochać, ale już przy pierwszych taktach z jego oczu płynęły łzy. Nie ustawały, dopóki nie przestał grać, bez względu na to, czy trwało to dziesięć minut czy godzinę.

Skoro już przedstawiam wam tło tej historii, powinienem też napisać o umiejętnościach muzycznych dziadka. Grał ze smakiem i wyczuciem, miał fantastyczną lewą rękę, lepszej nigdy nie słyszałem. W hotelu, w którym pracował, znajdowały się dwie sale jadalne. W jednej z nich grała harfistka, a oficjalny, francuski wystrój jadalni był na tyle specyficzny, że dawał gościom poczucie niezwyklej elegancji lub przyprawiał ich o mdłości. Druga była prawdziwą perłą art déco, urządzoną w odcieniach błękitu i srebra, z mnóstwem lśniącego czarnego granitu i czarnego lakieru. Przypominała nieco klub nocny, gdzie podawano typowo amerykańskie jedzenie. Dziadek grał w tej właśnie sali, zapewniając między siódmą i dziewiątą tło muzyczne, złożone głównie z klasycznych amerykańskich ballad i nieco żywszych utworów Cole'a Portera. O dziewiątej dołączali do niego trzej inni muzycy, z którymi grał do północy muzykę taneczną z lat trzydziestych i czterdziestych. Dziadek Teddy czuł się dobrze właściwie w każdym stylu.

Tuż po śmierci babci grał muzykę, jakiej nie słyszałem nigdy wcześniej i po dziś dzień nie znam tytułu żadnego z tych utworów. Wyciskały mi łzy z oczu, uciekałem więc do innego pokoju, ale tych melodii po prostu nie dało się nie słuchać, bo choć smutne, były jednocześnie

hipnotyzujące i nieodparte.

Po tygodniu dziadek wrócił do pracy, a ja ponownie przeniosłem się z mamą do mieszkania w centrum. Dwa miesiące później, w czerwcu, gdy zaważyło się życie mojej mamy, przeprowadziliśmy się do dziadka Teddy'ego na dobre.

### 3

Sylvia Kirk, moja mama, miała dwadzieścia dziewięć lat, gdy jej życie legło w gruzach – nie po raz pierwszy zresztą. Widziałem wtedy, że jest ładna, ale nie zdawałem sobie sprawy, że przy tym jest też bardzo młoda. Sam miałem ledwie dziesięć lat i pewnie wydawało mi się, że po dwudziestce człowiek jest już staruchem, albo w ogóle o tym wówczas nie myślałem. Nikomu nie byłoby się łatwo podnieść, gdyby jeszcze przed trzydziestką czterokrotnie jego życie legło w gruzach, i myślę, że moją mamę pozbawiło to nadziei do tego stopnia, że już nigdy nie zdołała odbudować do końca wiary w samą siebie.

Kiedy się to stało, trwały już wakacje. Jedynym dniem, w którym miejscowy dom kultury nie organizował zajęć dla dzieciaków, była niedziela, a tego właśnie popołudnia i wieczoru opiekowała się mną pani Lorenzo. Niegdyś szczupła i zgrabna, pani Lorenzo przybrała z wiekiem na wadze, nadal była jednak wesołą i miłą kobietą oraz fantastyczną kucharką. Mieszkała na pierwszym piętrze i za niewielką opłatą brała mnie pod swoją opiekę, gdy mama nie miała już żadnego innego wyjścia, czyli głównie wtedy, gdy trzy razy w tygodniu śpiewała w knajpie

bluesowej Slinky's. Niedziela nie należała do tych dni, ale mama pojechała wtedy do bogatej dzielnicy na uroczystą kolację, podczas której miała podpisać kontrakt na występy w, jak to nazywała, „znanym lokalu”, eleganckim klubie nocnym, którego nikt z pewnością nie nazwałby knajpą. Właściciel klubu, William Murkett, miał znajomości w branży muzycznej, planował wstępnie zatrudnić trzy dziewczyny do chórków, które nagrałyby z mamą kilka piosenek w studiu. Wyglądało na to, że wielkim przełomem w życiu mojej mamy nie będzie jednak praca kelnerki w eleganckiej restauracji.

Przypuszczaliśmy, że przyjdzie po mnie po jedenastej, ale zadzwoniła do drzwi pani Lorenzo już o siódmej. Od razu zrozumiałem, że stało się coś niedobrego, pani Lorenzo też się chyba tego domyślała. Mama jednak zawsze mówiła, że brudy należy pracować w domu, i tak też postępowała. Kiedy byłem mały, nie wiedziałem, o co jej chodzi, bo przecież nosiła naszą bieliznę i ubrania do wspólnej pralni w piwnicy. Tego wieczoru powiedziała, że okropnie boli ją głowa, choć nigdy wcześniej nie miała takich problemów. Mówiła też, że właśnie dlatego nie mogła zostać na kolacji ze swoim nowym szefem. Płacąc pani Lorenzo, zaciskała mocno usta, a w jej oczach płonęły emocje tak intensywne, że mogłaby chyba podpalić samym spojrzeniem każdy przedmiot, w który wpatrywałyby się wystarczająco długo.

Kiedy już wróciliśmy do mieszkania i zamknęliśmy za sobą drzwi, oznajmiła:

– Spakujemy wszystkie nasze rzeczy, ubrania i całą resztę. Przyjedzie po mnie mój tata i od tej pory będziemy mieszkali u niego. Nie chciałbyś mieszkać z dziadkiem?

Dom dziadka był większy i przyjemniejszy od naszego mieszkania, co też powiedziałem mamie. Ponieważ w wieku dziesięciu lat miałem jeszcze niewyparzony język, spytałem:

– Dlaczego się wyprowadzamy? Czy dziadek jest za smutny, żeby mieszkać samemu? Naprawdę boli cię głowa?

Mama jednak odpowiedziała tylko:

– Chodź, kochanie, pomogę ci spakować rzeczy.

Miałem własną, jasnozieloną walizkę, w której mieściły się właściwie wszystkie moje ubrania, choć dla kilku zabrakło miejsca, musieliśmy je więc włożyć do zwykłej reklamówki z supermarketu.

Kiedy się pakowaliśmy, mama powiedziała:

– Kiedy dorośniesz, nie zachowuj się jak człowiek bez charakteru. Bądź prawdziwym mężczyzną, podobnym do twojego dziadka.

– Właśnie taki chcę być. Do kogo miałbym być podobny, jeśli nie do dziadka?

Choć nie odważyłem się wyrazić tego wprost, w rzeczywistości chciałem powiedzieć, że nie mam zamiaru być taki jak mój ojciec. Odszedł od nas, gdy miałem osiem miesięcy, wrócił, gdy miałem osiem lat, a potem znów nas zostawił tuż przed moimi dziewiątymi urodzinami. Nie chodziło wcale o to, że nie potrafił dotrzymywać zobowiązań: w jego słowniku po prostu nie istniały takie pojęcia, jak obowiązek czy odpowiedzialność. W tamtym czasie bałem się, że znów do nas wróci, co byłoby prawdziwą katastrofą, biorąc pod uwagę wszystkie jego problemy. Jednym z nich był fakt, że nie umiał kochać nikogo prócz samego siebie.

Mimo to mama miała do niego słabość. Gdyby się znów

pojawił, mogłaby go przyjąć, dlatego nie mówiłem o tym, co naprawdę leżało mi na sercu.

– Poznałeś kiedyś Harmona Jessupa – powiedziała. – Pamiętasz?

– Jasne. Jest właścicielem Slinky's, gdzie śpiewasz.

– Wiesz, że odeszłam stamtąd ze względu na tę nową pracę. Ale nie chcę, byś myślał, że twoja mama jest postrzelona.

– Przecież nie jesteś, więc dlaczego miałbym tak myśleć?

Wkładając moje koszulki do reklamówki, mówiła:

– Chcę, byś wiedział, że odeszłam stamtąd także z innego powodu, i to naprawdę ważnego. Harmon po prostu ciągle starał się za bardzo... zbliżyć do mnie. Chciał ode mnie czegoś więcej niż tylko śpiewu. – Spakowała ostatnią koszulkę i spojrzała na mnie. – Wiesz, co mam na myśli, Jonaszu?

– Chyba wiem.

– Tak, myślę, że wiesz, i przykro mi z tego powodu. Tak czy inaczej, gdyby nie dostał tego, czego chciał, i tak nie miałabym tam już pracy.

Nigdy w życiu, ani jako dziecko, ani jako dorosły, nie byłem porywczy. Przejąłem chyba więcej genów po matce niż po ojcu, pewnie dlatego, że ojciec raczej niechętnie dzielił się czymkolwiek z innymi. Ale tego wieczoru bardzo szybko wpadłem w gniew i powiedziałem:

– Nienawidzę Harmona. Gdybym był większy, dałbym mu popalić.

– Nie zrobiłbyś tego.

– Właśnie że bym zrobił, do cholery.

– Uspokój się, kochanie.

– Zastrzeliłbym go.

- Nie mów takich rzeczy.
- Poderżnąłbym mu gardło i zastrzeliłbym go.

Podeszła bliżej, stanęła przede mną i spojrzała na mnie z góry. Pomyślałem, że zastanawia się pewnie, jak mnie ukarać za wygadywanie takich bzdur. W rodzinie Bledsoe nie tolerowano czczej, bzdurnej gadaniny ani języka rodem z rynsztoku. Dziadek Teddy często powtarzał: „Na początku było słowo. Słowo było przed wszystkim innym. Mówimy więc tak, jakby słowa były ważne, bo właśnie takie są”. Mama zmierzyła mnie więc groźnym spojrzeniem, potem jednak złagodniała, a na jej twarzy pojawił się wyraz czułości. Uklękła przede mną, objęła mnie i mocno przytuliła.

Czułem się zakłopotany i zawstydzony tym, co przed chwilą powiedziałem, bo oboje wiedzieliśmy, że gdyby taki drobny i chuderlawy dzieciak jak ja próbował zrobić krzywdę Harmonowi Jessupowi, ten zabiłby go śmiechem. Było mi też przykro, że mama nie ma innego obrońcy prócz mnie.

Spojrzała mi prosto w oczy i spytała:

- Co pomyślałyby siostry, gdyby usłyszały te twoje pogrózki?

Ponieważ babcia pracowała w kancelarii wielbnego McCarthy'ego, mogłem uczęszczać do Szkoły imienia Świętej Scholastyki za jedną trzecią normalnego chesnego. Szkołę prowadziły zakonnice, kobiety twarde i surowe. Jeśli ktokolwiek byłby w stanie dać Harmonowi nauczkę, którą zapamiętałby do końca życia, to z pewnością dokonałaby tego siostra Agnes lub siostra Catherine.

- Nie powiesz im, prawda? - spytałem.
- Cóż, właściwie powinnam. Powinnam też powiedzieć



twojemu dziadkowi.

Ojciec dziadka był fryzjerem męskim, a mama kosmetyczką. Prowadzili swój dom według długiej listy zasad. Gdy ich dzieci uznawały czasem, że te zasady to właściwie jedynie sugestie, którymi nie trzeba się przejmować, mój pradziadek przypominał im, do czego jeszcze może służyć długi skórzany pas, na którym ostrzył brzytwy. Dziadek Teddy nie uciekał się do kar cielesnych, ale rozczarowanie, jakim reagował na moje wyskoki, było co najmniej równie bolesne.

– Nie powiem im – oznajmiła w końcu mama. – Bo jesteś bardzo dobrym dzieckiem. Zapracowałeś sobie na spory kredyt w Pierwszym Banku Mamy.

Pocałowała mnie w czoło i podniosła się z kolan, po czym przeszliśmy do jej pokoju, by kontynuować pakowanie. Wynajmowaliśmy mieszkanie razem z meblami, do których należała toaletka z trzyczęściowym lustrem. Mama pozwoliła mi wyjąć wszystkie drobiazgi z szuflad toaletki i włożyć je do małej torby, którą nazywała „torbą do pociągu”, sama zaś pakowała w tym czasie swoje ubrania do dwóch wielkich walizek i trzech reklamówek.

Nie skończyła jeszcze tłumaczyć, dlaczego musimy się przeprowadzić. Zawsze uważała, że powinna się przede mną usprawiedliwiać, choć uświadomiłem sobie to dopiero po wielu latach. W rzeczywistości wcale nie musiała tego robić, bo wiedziałem doskonale, że ma dobre serce. Kochałem ją tak mocno, że czasem odczuwałem to jako fizyczny ból, szczególnie w te bezsenne noce, gdy martwiłem się o nią.

Tak czy inaczej, wtedy powiedziała:

– Kochanie, nigdy nie powinieneś myśleć, że jakiś

rodzaj ludzi jest lepszy od innych. Harmon Jessup jest bogaty w porównaniu ze mną, ale biedny w porównaniu z Williamem Murketttem.

Oprócz szpanerskiego night-clubu, w którym mama miała śpiewać pięć dni w tygodniu, Murkett był właścicielem jeszcze kilku innych biznesów.

– Harmon jest czarny – kontynuowała mama – a Murkett biały. Harmon skończył ledwie kilka klas podstawówki. Murkett studiował na jakimś renomowanym uniwersytecie. Harmon to zabijaka i kobieciarz, na dodatek jest z tego dumny. Murkett ma żonę i dzieci, cieszy się dobrą reputacją. Ale pomimo tych wszystkich różnic w gruncie rzeczy są tacy sami. Żaden z nich nie ma charakteru. Nie bądź nigdy taki jak oni, Jonaszu.

– Nie, mamo. Nie będę.

– Bądź uczciwy wobec innych.

– Będę.

– To nie jest łatwe. Nieraz będziesz miał ochotę się poddać.

– Nie poddam się. Ty się nie poddałaś.

– Ale miałam wątpliwości. I nadal je mam.

Umilkła i skończyła pakowanie, a ja powiedziałem:

– Pewnie nie masz pracy i dlatego przeprowadzamy się do dziadka.

– Wciąż mam pracę w Woolworth's, kochanie.

Wiedziałem, że czasami płacze, ale nigdy nie robiła tego przy mnie. W tamtym momencie jej oczy były czyste i jasne jak oczy siostry Agnes. Właściwie pod wieloma względami przypominała siostrę Agnes, choć z pewnością była o wiele ładniejsza i o wiele lepiej śpiewała.

– Mam pracę w Woolworth's, dobry głos i mnóstwo

czasu – dodała mama. – I ciebie. Mam wszystko, czego mi potrzeba.

Pomyślałem wtedy o moim ojcu, o tym, jak ciągle nas zostawiał. Gdyby dotrzymał choć połowy złożonych nam obietnic, nie mielibyśmy tych kłopotów. Ogromnie mnie to irytowało, ale nie mogłem dać ujścia swej złości. Mama nigdy nie ukarała mnie dotkliwiej jak wtedy, gdy powiedziałem, że go nienawidzę. Choć nie sądziłem, że powinienem się wstydzić tego wyznania, tak czy inaczej było mi wstyd.

Nie miałem pojęcia, że nadejdzie kiedyś dzień, gdy myśl o ojcu nie będzie budzić we mnie pogardy, lecz paniczne przerażenie.

Ledwie skończyliśmy się pakować, gdy do drzwi zadzwonił dziadek Teddy, który przyjechał po nas i po nasze rzeczy.

## 4

Po raz pierwszy życie mojej mamy legło w gruzach, gdy dowiedziała się, że jest w ciąży. Została właśnie przyjęta na studia muzyczne w Oberlin, dostała też duże stypendium. Nim jednak rozpoczęła naukę, okazało się, że będzie miała dziecko. Mówiła potem, że wcale nie chciała studiować, że to był tylko pomysł jej rodziców, że wolała swobodnie rozwijać swój talent, a mnóstwo teorii muzycznej mogłoby ją tylko ograniczyć. Chciała raczej śpiewać w klubach, przenosić się do coraz lepszych lokali i zdobywać w ten sposób doświadczenie. Twierdziła, że pojawiłem się w samą porę, by uratować ją przed Oberlin – być może